

PROLOG

Nieopodal Zmorojewa rozpoczęła się wojna.

Nie była głośna; nie rozbrzmiewały wystrzały, krzyk żołnierzy, huk spadających bomb. Nikt nie zakłócał spokoju lasu – gdzie ćwierkały ptaki, szumiały drzewa, słychać było przebiegające w oddali zwierzęta. Zapadał zmrok. Nad lasem rozlała się krwista czerwień zachodu słońca. Purpura oblewała korony drzew, spływała po ich pniach, ściekała na krzaki, paprocie i poszycie. Wojny nie było widać ani słychać, co nie zmieniało faktu, że zaczęła się właśnie w tym momencie.

– Ci ludzie. Coś mają z tymi trójkami, prawda? – powiedział Strzępowaty i podrzucił mały, owalny przedmiot. – Trzej Królowie, Trójca Święta, Trzy Korony...

– Trzy grosze – zaskrzeczała Gangrena, trzymając się za brzuch.

– Jakie trzy grosze? – Strzępowaty złapał medalion i zacisnął na nim dłoń. Pomiędzy jego zrogowaciałymi, powykręcanymi palcami coś zaśniło.

– Tak mówią ludzie. – Gangrena usiadła. – „Wtrącić swoje trzy grosze”.

– Nie wiem, co to oznacza, ale jest dobrym przykładem na tę dziwną obsesję trójek. – Strzępowaty otworzył dłoń i patrzył na przedmiot, po czym pieszczotliwie musnął go opuszkami palców... o ile Strzępowaty mógł dotknąć cegokolwiek z czułością. Jego ręce dużo lepiej wiedziały, jak zaciskać, rozszarpywać i wyrywać, a nie głaskać.

Zamilkli na moment, jakby dla uczczenia chwili. Gangrena siedziała na ziemi, przyciskając dłonie do brzucha. Odkąd pamiętała, bolał ją tak mocno, jakby w jego wnętrzu bez przerwy kipiał wrzątek. Choć wzrostem przypominała ludzkie dziecko, miała brzuch, który zajmował sporą przestrzeń. Był jej największym ciężarem, ale czasami myślała, że bez niego nie mogłaby istnieć.

Strzępowaty wsunął zaciśniętą na przedmiocie pięść do kieszeni za dużej, wypłowiałej marynarki i stał przez chwilę, wbijając spojrzenie zaropiałych oczu w nieokreślony punkt. Drugą ręką drapał się po głowie, wielkiej w porównaniu z tyczkowatym i chudym ciałem, jakby czegoś szukał pośród resztek przetłuszczonych siwych włosów. Kiedy to w końcu znalazł, zgniótł w palcach i pstryknął.

Gdyby zobaczył ich jakiś człowiek, opowiadałby potem rodzinie i znajomym, że widział w lesie parę najbrzydszych ludzi na Ziemi. Ale żaden człowiek nie mógł ich zobaczyć, tak jak żaden człowiek nie mógł tak po prostu wejść do lasu otaczającego Zmorojewe.

– Pokaż mi. – Gangrena wyciągnęła do Strzępowatego drobną, tłustą łapę. – Proszę, pokaż. Nie zniszczę, obiecuję, że nie zniszczę.

Strzępowaty wyjął owalny przedmiot z kieszeni. Zaczął przekładać go między palcami jak monetę. Przedmiot znowu zabłyszczał. Źrenice Gangreny się rozszerzyły. Nie mogła oderwać od niego oczu.

– Ano ludzie coś mają z tymi trójkami. – Strzępowaty z premedytacją podsycił jej fascynację. Bawił się medalionem, a jednocześnie bawił się Gangreną, która sięgała ku błyskotce ręką. Gdy jej palce znalazły się za blisko, Strzępowaty uderzył ją dłonią, jakby karcił dziecko. – Trzy Klucze. Na razie mamy jeden.

Gangrena uspokoiła się, ale tylko na chwilę. Strzępowaty odwrócił medalion awerssem do niej. Był to nagrobny portret o owalnym kształcie. Gangrena popatrzyła na uwiecznioną na nim twarz, rozwarła oczy jeszcze szerzej i zaczęła gwałtownie poruszać szczęką jak ktoś bardzo zdenerwowany. Albo przerażony.

– Oto jeden z Kluczy – powiedział Strzępowaty. – Portret Kobiety Cmentarnej.

– Tej, która przychodzi po samobójców i ma metalowe szpony zamiast rąk – wyszeptała ze zgrozą Gangrena.

Strzępowaty westchnął.

– Te szpony to przesada. – Popatrzył uważnie w twarz na portrecie. Zwykła starsza kobieta, około siedemdziesięcioletnia. Z siwymi, ułożonymi w staromodną falę włosami i gęstą siatką zmarszczek na twarzy. Zwykła kobieta... tyle że jej gałki oczne były całe czarne. – Ale fakt, lubiła noże. Ostre przedmioty. Lubiała kroić. Bardzo. – Uśmiechnął się. – Lubiała też koty – dodał i schował portret do kieszeni marynarki.

– Skąd to masz? Skąd? – zaskrzeczała Gangrena.

Czuła, że nie jest już samotną, małą Gangreną, którą jeśli już ktoś zauważa, to tylko ją popycha, wygania albo przewraca. Teraz była własnością Portretu.

– Ci ludzie... – Strzępowaty poklepał kieszeń, jakby Portret był żywą istotą, którą trzeba uspokoić. – Nie było trudno go znaleźć. Wejść do niego do domu. Zabrać mu to. Wcale a wcale.

Strzępowaty westchnął i wciągnął nosem leśne powietrze. Zmrużył oczy jak kiper wachający wino o wyjątkowo bogatym bukacie. Nie było tego słyhać, nie było czuć, ale w lesie coś się zmieniało. Zrobiło się chłodno, nie z braku słońca, ale raczej jakby nieznacznie zmodyfikował się jego skład chemiczny. Wiatr zmienił kierunek. Gdzieś daleko pod ciężarem jakiegoś zwierzęcia trzasnęła gałąź. Każdy moment, każdy odgłos zwiastowały nadejście nowego.

Pomiędzy drzewami coś zamigotało. Gangrena pokazała to palcem.

– Widzę – powiedział Strzępowaty. Ruszyli przez las. Gangrena, drepcząc drobnymi, niezdarnymi i szybkimi krokami, przypominała buldoga francuskiego, który próbuje iść na dwóch łapach. Strzępowaty człapał powoli i anemicznie, zapatrzony w nieokreślony punkt w ciemności. Nie patrzył na ziemię, ale jego patykowate, długie nogi zwinnie pokonywały każdą przeszkodę. Człowiek przewróciłby się kilkanaście razy. Ale Strzępowaty nie był człowiekiem.

Purpura gasła, a las powoli zaczęła spowijać czern.

Chociaż jeszcze nikt tego nie słyszał i nikt tego nie widział, nieopodal Zmorojewa rozpoczęła się wojna.